

ALIBI.

— Proszę pani! Jakis pan...

— Czego chce? Jesteśmy przy śniadaniu. Czy powiedział małżowi?

— Ech! — mruknął pan Jeremi Pichard, zając paszteciki francuskie — pewnie urzędnik z gazowni... z rachunkiem...

— Tyle już razy mówiłam ci, Anno — rzekła pani Pichard, zwracając się do pokojówki, ażebyś żądała nazwiska lub biletu od osób, których nie znasz.

— Ależ, proszę pani! Nie dał mi czasu na to! Wszedł jak do siebie z dwoma posterunkowymi w dodatku.

— Co? Z dwoma... posterunkowymi? Państwo Pichard spojrzeli z przerażeniem na siebie.

— Przypomnij sobie, Jeremi — odezwała się wreszcie pani Pichard do męża — czy nie miałeś jakiegoś wypadku... zająścia...?

— Jakiego zająścia...? Z kim...? Czego chcesz ode mnie?...

— Nie byłeś świadkiem czasami kłótni na ulicy, najechania...?

— Nic podobnego. Omylili się.

— Oczywiście, mylą się, Anno, jesteś pewna, że ten pan pytał o pana Jeremiego Pichard?

— Tak, proszę pani. Jestem tego pewna!

W tejże chwili, drzwi od jadalnego pokoju otwierają się i komisarz policji z dwoma agentami wchodzi. Anna cofnęła się przeczornie do kuchni.

— Państwo darują — zaczął komisarz, zbliżając się — lecz jestem, na skutek mego urzędu, obowiązany do załatwienia pewnych formalności. Panie? Pan jest Izydorem-Jeremim Pichard we własnej osobie?

— Istotnie! Ale...

— Jedno tylko pytanie: gdzie pan byłes wczoraj, we wtorek, między drugą a czwartą godziną po południu?

Jeremi Pichard drgnął.

— O... o drugiej?... Wczoraj?... Ależ! ja... — jąkał się.

Poczem, opanowawszy się, dodał:

— Co znaczy ta indagacja, proszę pani?

— Odkładź to — pośpieszyła pani Pichard mężowi z pomocą, mówiąc głosem ostrym — wolno przychodzić kontrolować, gdzie spędzają czas uczeni ludzie?

— Proszę pani — odpowiada komisarz grzecznie — przedłożyłem już państwu z jakiego tytułu tu jestem. Przyszedłem zmuszony obowiązkami mego zawodu. Pański mąż może odpowiedzieć na moje pytanie, lub nie. To jego rzecz. W interesie pani męża jednakże, i dla uniknięcia poważnych nieprzyjemności, radzę mu usilnie, nie od-

powiadać wymijająco na postawione przede mną pytanie.

— Ha! Trudna rada! Odpowiadaj, Jeremi! — westchnęła pani Pichard — wczoraj, o godzinie drugiej byłeś przy ulicy Verneuil, liczba 78, u maszyn przyjaciół Gerbaud. Pamiętałeś? Połknąłeś, śpiesząc się, kawę, ażeby...

— Prawda! Rzeczywiście!... Tak! Pa... pamiętam! Byłem u... Genbaud, mego przyjaciela Gerbaud.

— Dobrze, proszę pana! — rzekł komisarz, uderzony zakłopotaniem i rosnącym podnieceniem pana Pichard. — Skontrolujemy pańskie zeznanie.

— Słowo daję — zawołała pani Pichard, składając swoje przysadziłe ręce na okazałym łonie — tego tylko brakuje, ażeby podawano w wątpliwość nasze słowa! Omyłka ta, w każdym bądź razie, będzie drogo autorów kosztować. Nie wolno w ten sposób, z lekkim sumieniem, rzucać hańbiące podejrzenie wobec sąsiadów, służby i oddzielnym na uczciwych ludzi, których życie było bez skazy. Talk, panie. Śmiało to mówię: przez dwadzieścia pięć lat prowadziliśmy handel guzikami i gumalastyką przy ulicy Rambuteau, gdzie wszyscy oczęcali nas szacunkiem. Nigdy nie mieliśmy do czynienia z trybunałem, my, panie! Nigdy! I nagle, ni stąd ni zowąd, bez żadnego powodu, przychodzą badać nas, niczem złooczyńców. Dlaczego nie jak morderców w takim razie?...



— Przepraszam panią — odpowiada komisarz zimno, z oczami utkwionymi w Jeremiego Picharda, który bez krwi w twarzy, rozgniewał drżącym palcem kroplę potu, występującą mu raz po raz na czole. — Ani przez chwilę nie podaję w wątpliwość słów pani. Muszę tylko zwrócić uwagę pani mężowi...

— Panie komisarzu — przerywa mu nagle Jeremi Pichard, suggestjonowany inkwizytorskim wzrokiem wyższego urzędnika — to, co powiedziałem przed chwilą... nie jest prawdą.

— Co?... — woła pani Pichard, podskakując na krześle.

— Wczoraj o godzinie drugiej po południu byłem w Saint-Cloud.

— Dobrze! — szepnął komisarz z czołbliwym zagięciem kącików ust.

— W Saint-Cloud? — powtórzyła pani

Pichard, rzucając się ku swemu mężowi. — Po coś był w Saint-Cloud? Coś tam robił? Nie mamy tam znajomych! Dlaczego powiedziałeś mi, że idziesz do Gerbaud. W jakim celu skłamałeś? Prędko! Mów! Wy tłumacz się!

Nieszczęśliwy Pichard, oszołomiony gradem tych pytań, osunął się na krzesło z twarzą w drgawkach.

— Zatrzymał się pan w hotelu „Cheval de bois“, nieprawdaż? — pytał komisarz, który robił zapiski.

— Zdaje mi się... — przyznał niewyraźnie Pichard.

— Miał pan pokój liczba 18, na drugim piętrze?

— Może być...

— Nędzniku! — ryknęła pani Pichard, drżąc z oburzenia. — Rozumiem teraz... Ufałam ci, jak dziecku. Liczyłam, że pan dobrodziej jest u przyjaciół, podczas gdy on waleśał się po Saint-Cloud! Ach! Ach! Jestem pewna, że intryżka ta ciągnie się od dawna. Ale prawda, jak oliwa, zawsze wyjdzie na wierzch. Mamy dowód! Ach! Ach!

— Jest to, proszę pani — odezwał się komisarz — przykry zbieg okoliczności, a który zbiegł się z faktem w innym rodzaju poważnym. Wahania, fałszywe zeznanie zachowanie się nawet pana Pichard, upoważniają mnie, miłosty, do wszelkich podejrzeń. Oto, o co chodzi: wczoraj, we wtorek, około godziny czwartej po południu, pod łóżkiem numeru 18, znaleziony został trup tylko co zamordowanego mężczyzny.

— Pod... pod łóżkiem? — bełkotał Jeremi z oczyma z orbit wysadzconymi. — Znajdował się... trup... pod... pod łóżkiem?... Czy być może?...

— Mój mąż?... Mordercą?... Rany Chrystusa!...

I pani Pichard, wzniosłszy swe krótkie ramiona do góry, zemdlała z przerażenia.

W pięć minut potem pan Jeremi Pichard, błąd, chwytając się na nogach, zmieniony do niepoznania, opuszczał swoje mieszkanie, eskortowany przez komisarza i dwóch jego agentów.

Dowiedziano się nazajutrz, że ofiarą w Saint-Cloud był kasjer, który się zastrzelił. W przedśmiertnych konwulsjach, ciało jego stoczyło się między ścianą i łóżko.

W pokoju, tonącym w półcieniu, pan Izidor-Jeremi Pichard i jego przygodna przyjaciółka, nie mogli domyśleć się, że Eros sąsiadował tak blisko ze śmiercią!

Jeremi Pichard mógł łatwo dowieść swej niewinności; nie wykroczył się jednak od trybunału.

W kilka miesięcy później bowiem stanął przed sądem dla wysłuchania wyroku o rozwodzie na korzyść pani Elodji Pichard, pozostawiającej.

Hum. Jotsaw.

— :o: —



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok VI.

Niedziela, dnia 2 czerwca 1929 roku.

Nr. 22.

Plon pracy polskiej w Poznaniu.



W dniu 16 maja 1929 roku otwarta została w Poznaniu, w obecności przedstawicieli najwyższych władz Rzeczypospolitej z p. Prezydentem prof. Ignacym Mościckim na czele, Powszechna Wystawa Krajowa, będąca żywym wyrazem pracy polskiej i wielką rewją dorobku gospodarczego Polski w okresie jej dziesięcioletniego niepodległego istnienia. Obok ekspozycji najważniejszych gałęzi przemysłu krajowego, wśród pawilionów ilustrowanych swą cenną zawartością wytwórczość wszelkich dziedzin życia zajęła niepoślednie miejsce również przyniesła w Łódź. Powyżej widzimy stoisko „Kurjera Łódzkiego“ i „Echa“, które jedynie reprezentują codzienną prasę łódzką na Powszechnej Wystawie Krajowej. Fot. A. Mayer.

TEATRALJA.

Premjery warszawskie. — Występy „Reduty” w Ameryce. — Sensacje i drobiazgi teatralne. — Nowa opera Ferrari'ego.

Wystawiona w tych dniach w Teatrze Polskim najnowsza komedia Perzyńskiego p. t. „Rozum czy głupstwo”, zdradzając wszystkie zalety pióra autora „Lekkomyślniej siostry”, cierpi jednak na chorobę, panującą epidemicznie we współczesnym polskim komedjopisarstwie. Doskonała, inteligentnie pomyślana ekspozycja już po kilku scenach rozprasza się i tonie w banalności dalszych pomysłów, krojonych według najpowszechniejszego modelu; akt pierwszy obfocuje wiele, następne — nie dotrzymują jednak obietnic poprzednika. Z komedji powstaje tym sposobem zlepek i łatanina, której każda część powinna mieć właściwie własną a odmienną ocenę. Wszystko to właśnie daje się zastosować do ostatniej komedji Perzyńskiego, który — może nawet świadomie — zasadniczą swą koncepcję sprowadził na mieliznę, a ciekawy problem psychologiczny drugiej młodości Oborskiego, przeżywaną w osobie młodego muzyka, rozpuścił w cukrzanej wodzie bardzo przeciętnej, erotycznej fantazji.

Linja kierunkowa sztuki została skrzywiona; oczekiwanie widzów zawiedzione. Byłoby niewątpliwie daleko ciekawszym sledzeniem perypetyj „drugiej młodości” Oborskiego, który eksperymentuje na owym muzyku, każąc mu żyć i postępować tak, jak czyniłby on to sam, gdyby dawniej miał obecny „rozum” dojrzałego człowieka — niż przyglądanie się miłosnej rywalizacji dwóch kobiet o urodziwego pupilka p. Oborskiego. A może właśnie historja tych miłosnych zapasów i zwycięstwo młodziej ma być usymbolizowaniem „głupstwa”, którego niewątpliwym urokom poddaje się jednak, wbrew radom Oborskiego, młody muzyk knajpiany?

Ostatecznie — wykonanie „Rozumu czy głupstwa” jest znacznie gorsze, niżeli pomysł. Pomimo dobrego, jak zwykle u autora „Aszanki”, dialogu, niepowszedniego w wielu miejscach dowcipu, jędrnej charakterystyki niektórych figur i widocznej zręczności technicznej, komedja przecież — jako całość — zawodzi i nie jest tem, czem w rękach takiego majstra jak Perzyński, być mogłaby. Nie pomoże na to nawet bardzo staranna gra artystów, wśród których prym wiodą p.p. Stanisławski, Kamińska, Romanówna, Daczyński.

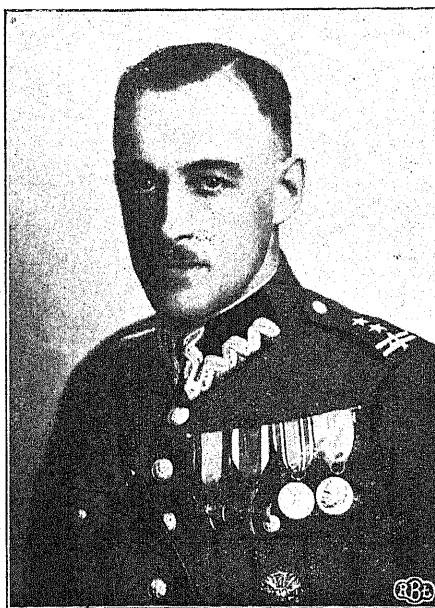
W operze warszawskiej wystawiono rokokowe cacko Mozarta „Wesele Figara”, oparte, jak wiadomo, w swej scenicznej treści o komedję Beaumarchais'ego, pełne skrzyczących się pierwiastków ironji, lekkości i dowcipu. Arcydzieło Mozartowskie, z taką niezwykłą gracją tłumaczy współzawodnictwo mową muzyki: załoty arystokrata i — fryzjera do pięknej subretki. Co do strony muzycznej (dyrygent J. Bojanowski), przedstawienie stało na wysokim, nie często notowanym, poziomie. Siły wokalne naogół dopisały, a główne partie opery znalazły dobrych wykonawców w osobach pp. Kamwowskiej, Czapskiej, Michałowskiego,



Na terenie parafji św. Teresy w Łodzi odbyła się podniosła uroczystość poświęcenia sztandarów Stowarzyszenia Ojców Katolickich, Młodzieży Polskiej, Dzieci Marji i Matek Chrześcijańskich. Aktu poświęcenia dokonał J. E. ks. biskup dr. Tymieniecki. Powyżej uczestnicy uroczystości z Dostojnym Pasterzem na stopniach kościoła św. Teresy.

Janowskiego, Romejki. Nieco gorzej sprawa przedstawia się pod względem koncepcji reżyserskiej, którą — niepotrzebnie — pchnięto zbyt daleko w kierunku parodji i groteski, choć opera Mozarta nie jest bynajmniej operą „buffo”, lecz nazwana została przez samego kompozytora „drama giocosa” — i, istotnie, pełna jest sarkazmu i wybitnej ironji. Dlatego też reżyserski styl widowiska odbiegał znacznie od tendencji samego dzieła, choć to reżyserskie ujęcie było w swoim rodzaju oryginalne i konsekwentne.

Z wielką przykrością przyjęło Wilno



Nowy dowódca 4 pułku artylerji ciężkiej w Łodzi, płk. Leon Bogusławski.

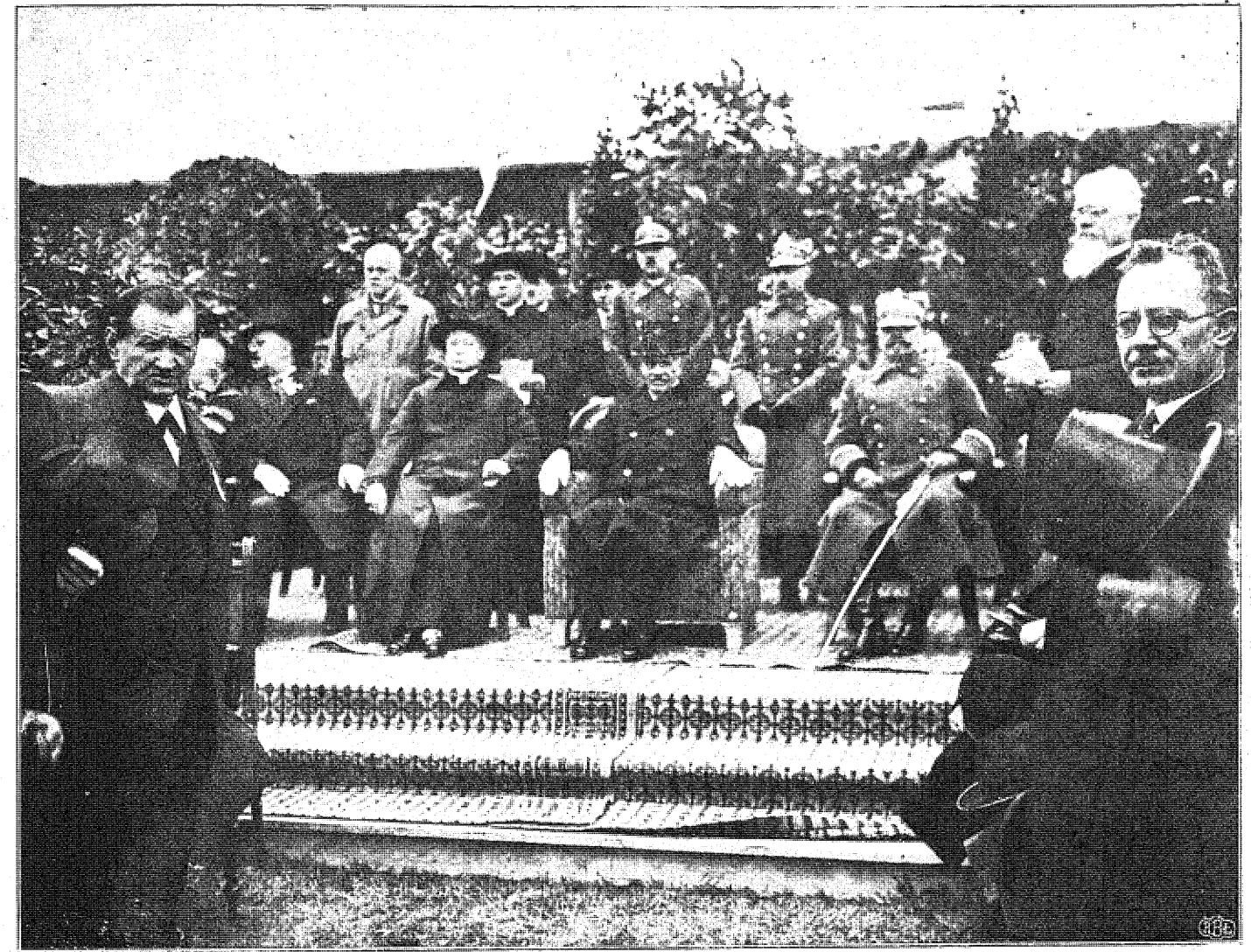
wiadomość, ogłoszoną w prasie przez dyr. Osterwę, a dotyczące znieczenia się dalszej dzierżawy teatru miejskiego, ze względu na wyjazd zespołu w sezonie przyszłym do Ameryki. „Reduta” jednak ma zamiar pozostawić w Wilnie „studjum” teatralne oraz zorganizować teatr objazdowy na kresach wschodnich i zachodnich.

Bernard Shaw, bawiący obecnie w miejscowości kapełowej Brioni, udzielił wywiadu znanemu węgierskiemu dramaturgowi Lengyelowi. Gdy Lengyel zapytał m. in. co skłoniło Shawa do wystawienia swej najnowszej sztuki w Warszawie (o czem już pisaliśmy), Shaw miał odpowiedzieć: „Ponieważ mój tłumacz polski był najbardziej agresywny i ponieważ ja sam, nie wiem dlaczego, mam użucie, że pierwszemu przedstawieniu tej sztuki najlepiej odpowiada atmosfera polska. „The apple cart” jest to polityczna komedja satyryczna, w której głównymi bohaterami są: minister partji pracy i — król. Sztuka składa się z dwóch długich (pierwszego i trzeciego) aktów oraz jednego (środkowego) — krótkiego”. Na tem znakomity pisarz zakończył swe wywężerzenia na temat sensacyjnej pra-premjery warszawskiej.

W jednym z teatrów nowojorskich wystawiono balet, osnuty na treści słynnego dzieła Maeterlincka „Życie pszczoł”. Originalny ten balet tańczony jest zupełnie bez muzyki, którą zastępuje rytmizowane różnorodnie „brzęczenie”, wykonywane przez chór. Choć i krytyka amerykańska przyjęła podobno balet z dużym uznaniem, nam ten „brzęczący” pomysł wydaje się przecież dziwnym, spreparowanym chyba specjalnie dla nudzących się już wszystkim na świecie — miłarderów amerykańskich.

Delta.

Zielone Świątki na Powszechnej Wystawie Krajowej.



W dniu 19 maja r. b. na olbrzymim stadionie Powszechnej Wystawy Krajowej w Poznaniu zebrał się cały mieomal słowiański świat śpiewaczy, by uczestniczyć w kongresie chórów słowiańskich. Powyżej widzimy p. Prezydenta Rzplitej, prof. Ignacego Mościckiego i J. Em. ks. kardynała, prymasa Honolda w otoczeniu przedstawicieli władz rządowych, przyślawających się w skupieniu wykonywanym przez 14-tysięczną rzeszę śpiewaczą, pieśniami, wzbudzającym zachwyt i wprowadzającym w podziw dostojnych słuchaczy.



Prócz kongresu chórów słowiańskich reprodukowały się w dzień Zielonych Świątek na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu liczne, istniejące na terenie całej Rzplitej towarzystwa muzyczne i śpiewacze. Powyższe zdjęcie przedstawiają od strony lewej grupę chóru górali zakopiańskich, na prawo zaś zespół Tow. Śpiewaczego im. Moniuszki w Łodzi.

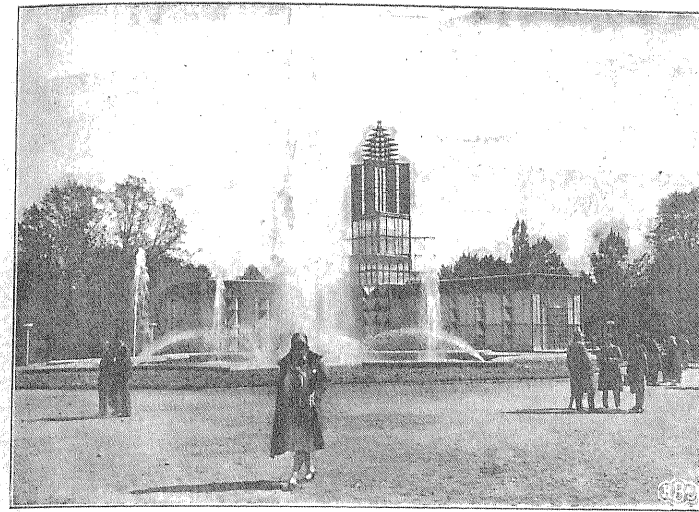




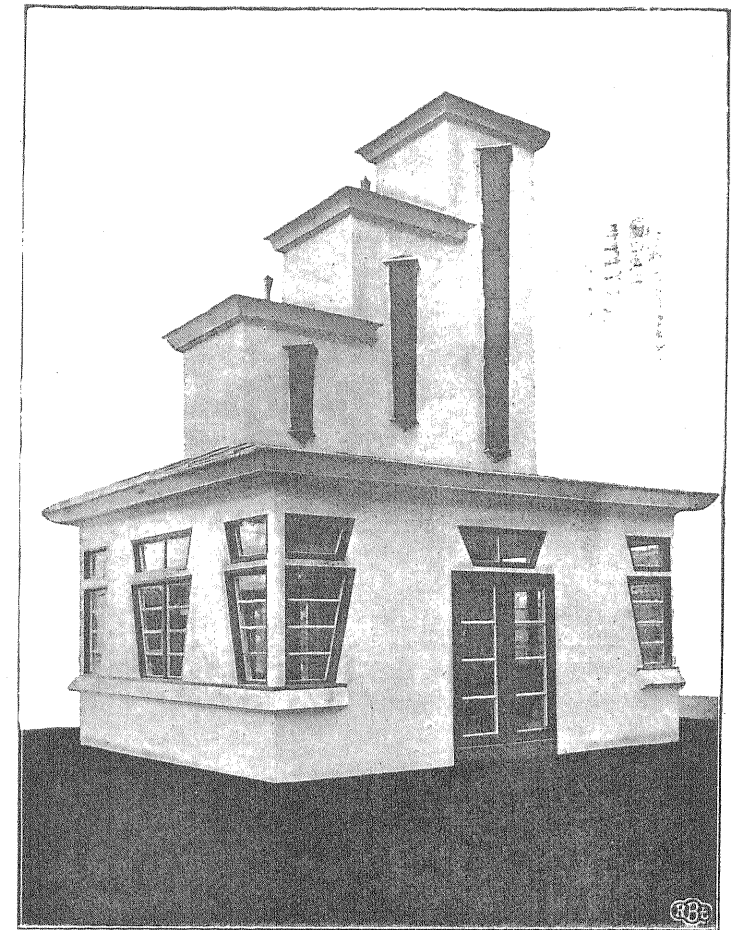
Pawilon myśliwski na Powszechnej Wystawie Krajowej, zaopatrzone w cenne i rzadkie eksponaty.



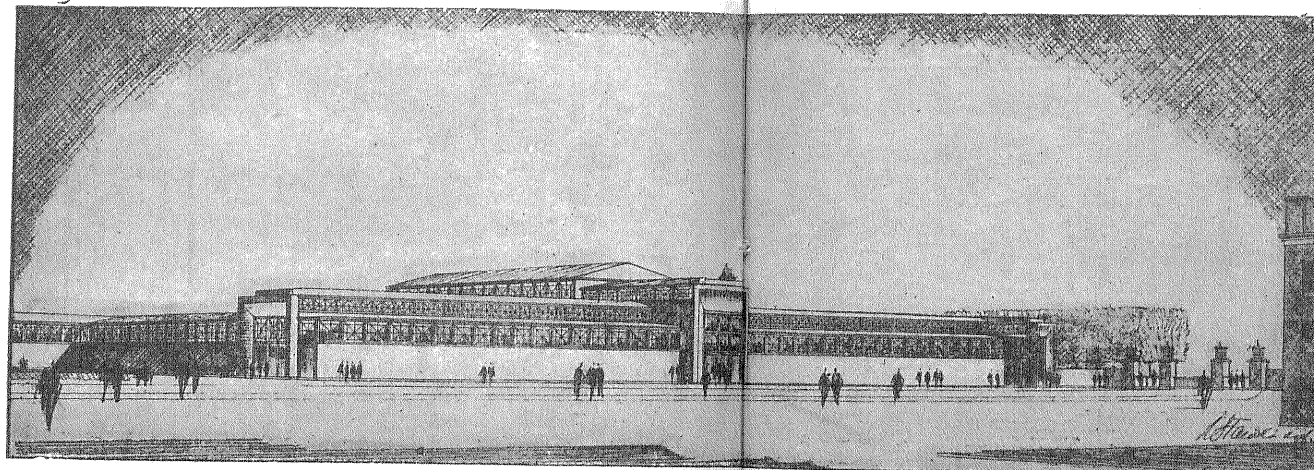
Zwiedzanie terenów P. W. K. przez p. Prezydenta Rzeczypospolitej, witanego owacyjnie przez przedstawicieli krajowych i zagranicznych placówek.



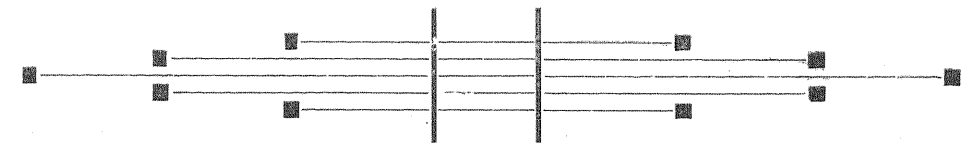
Wspaniałe wodotryski na Powszechnej Wystawie Krajowej stanowią efektowne tło dla terenów wystawy.
Fot. A. Meyer.



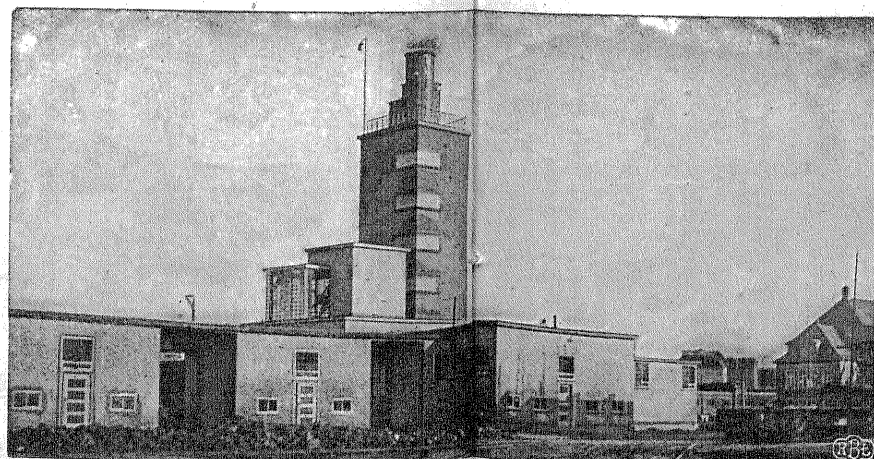
Oryginalny pawilon jednej z fabryk pierników i keksów, na terenach zachodnich Powszechnej Wystawy Krajowej w Poznaniu.



Pawilon samorządów wojewódzkich i Związku Miast na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu. Pawilon powyższy zbudowany został według planów arch. Rogera Sławskiego.



Zjazd dziennikarzy z całej Rzeczypospolitej. Powyżej uczestnicy zjazdu zwiedzają Wystawę Krajową.



Zabudowanie głównego wejścia na tereny zachodnie Powszechnej Wystawy Krajowej w Poznaniu, pomysłów J. Müllera.

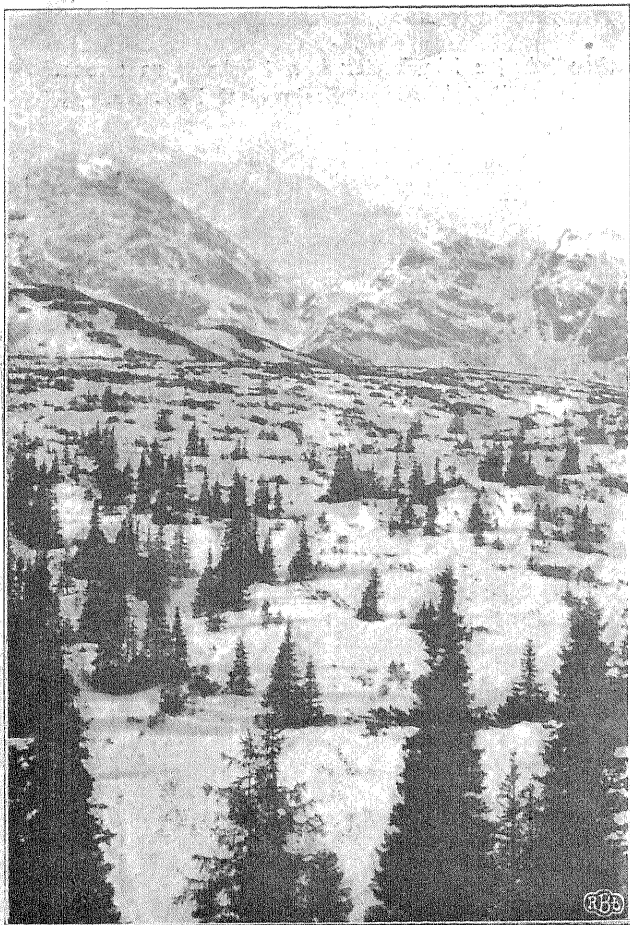


Widok na tereny wschodnie Powszechnej Wystawy Krajowej z halą przemysłu naftowego.





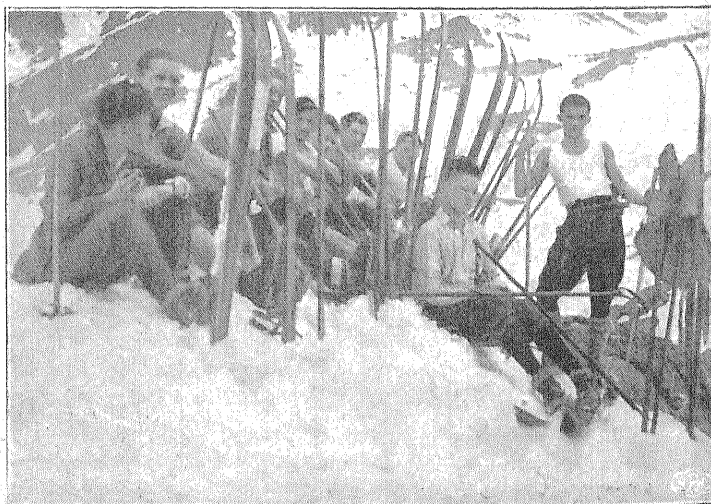
Propaganda idei wychowania fizycznego w Tow. Gimnastycznym „Sokół” w Zgierzu. Zdjęcia nasze przedstawiają ówczesną rytmiczną oraz start do biegu druchem „Sokoła”.



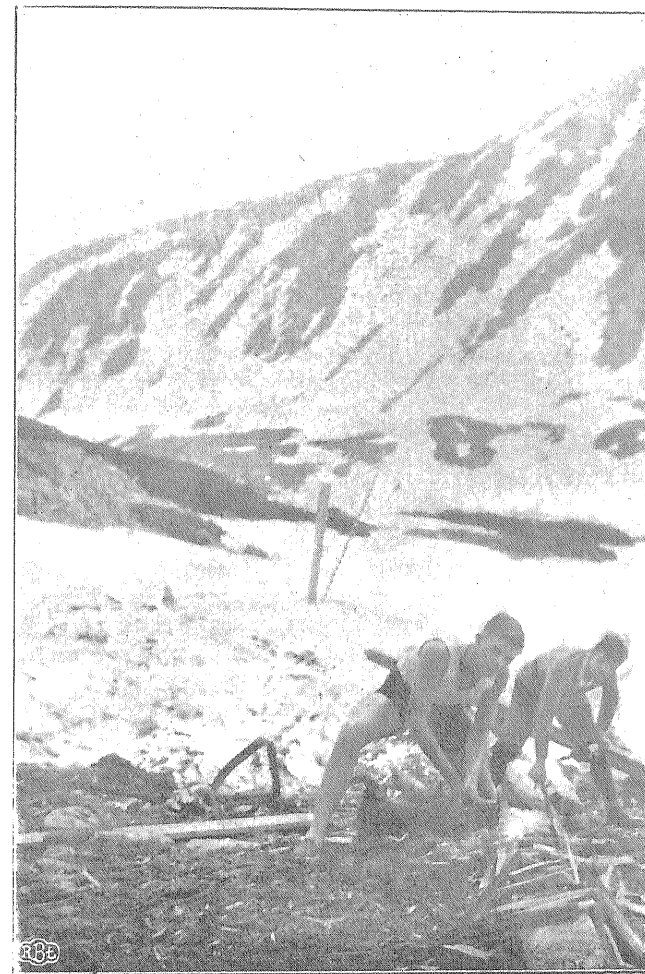
Uczniowie gimnazjum Zgromadzenia Kupców w Łodzi odbyli w dniach 7 do 13 b. m. wycieczkę do Zakopanego. Między innymi zwiedzili widzianą powyżej Halę Gąsienicową, Świninę, Pośrednią i Skrajną Turnię.



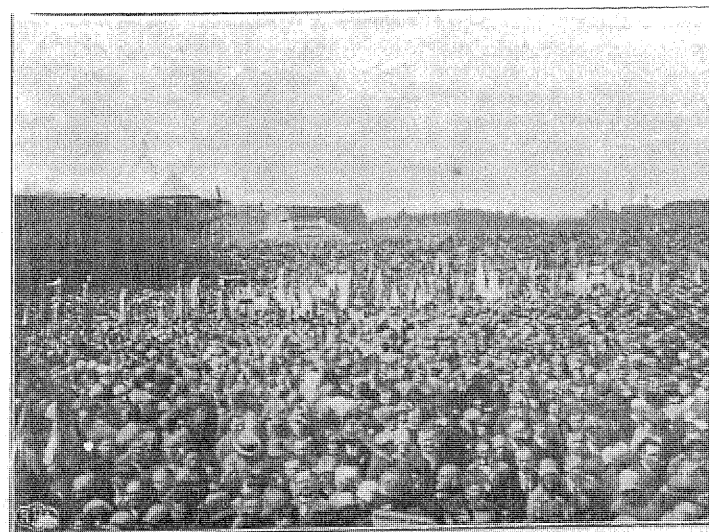
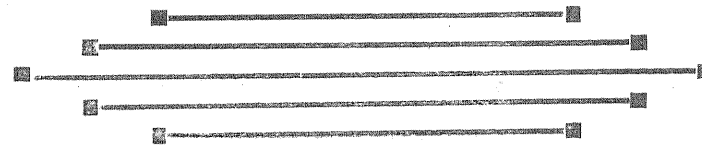
Uroczystość w parafii św. Teresy w Łodzi. Tłumy wiernych spieszą do kościoła, by wziąć udział w akcie poświęcenia sztandarów.



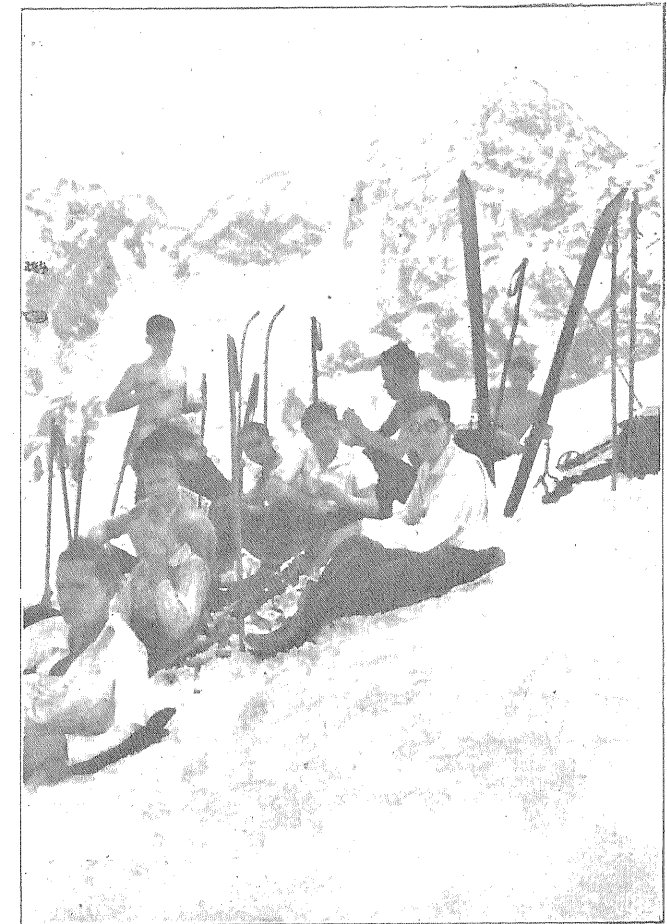
Uczniowice wycieczki uczniowskiej na ścieżce pod Zawratem zażywiają zasłużonego odpoczynku po żmudnym treningu narciarskim.



Uczniowie gimnazjum Zgromadzenia Kupców w Łodzi w czasie wycieczki do Zakopanego zwiedzili między innymi również schronisko Pięciu Stawów Polskich.



Liczą rzesze wiernych biorących udział w uroczystościach w parafii św. Teresy w Łodzi.



Wycieczka w drodze na Liljowe.



Na tr. ścieżki Łódź—Poznań odbył się 240 kilometrowy jubileuszowy bieg kolarski Ł.T.K. Powyższe zdjęcie przedstawia zwycięzcę H. Nerpera, który w biegu tym zdobył pierwszą nagrodę. Fot. A. Mayer.

ŚWIATŁO.

Słynny powieściopisarz francuski, autor książek: „Meleques“ i „Plaisir“ publikuje nowy utwór: „Światło“, którego wzruszającą treść podajemy poniżej:

Paulina Mansard, piękna artystka, słynna poetka i rzeźbiarka zarazem, szukała w najmniejbezpiecznych środkach podniecających niedopisującego jej chwilowo natchnienia. Naduziona otaczająca ją noca, kona niemal pod brzemieniem rozpacz i buntu. Dzięki miłości i oddaniu męża, Paulina cudem prawie przeżyła nieszczęście i odzyska wkońcu wzrok.

Binet-Valmer, który sam był ślepy w ciągu dwóch miesięcy blisko, opisuje dramat ten z maestrią, stawiającą go w szeregu najwybitniejszych pisarzy francuskich. Szczęśliwi jesteście, mogąc dać dzisiaj czytelnikom (czkom) naszym urywek tej pięknej powieści.

...Stojąc przed zwierciadłem i podnosząc swe silne ramiona, Lionel zawołał:

— Dlaczego nie miałbym ocalić jej?

Włożył lekką pyjamę, gorąco bowiem było w mieszkaniu, mimo śniegu na dworze; zaczął energicznym ruchem swe lśniące włosy i odwinął wargi, aby przyrzyć się młodym swoim i białym jak kość słoniowa zębom.

— Dokonam tego! — dodał głośno tonem stanowczym i pewnym.

Przez bibliotekę, galerię i pracownię udał się do sypialni żony.

— Pani pytała o pana — rzekła Lucja, którą spotkał po drodze.

Wiedział, że jest oczekiwany. Paulina szepnęła mu przed chwilą: „Spój ze mną, tej nocy, najdroższy!“

Lionel bez wahania przychylił się do życzenia żony, uprzedzając panią Desbous, że zastąpi ją w czuwaniu.

— Pani powiedziała mi... — szepnęła Lucja. — Ach, gdyby pan mógł uratować panią!

Paulina zatem kryła się z ślepotą przed matką i pielęgniarzką swoją, lecz nie robiła tajemnicy przed swoją pokojówką — pomyślał Lionel.

— By Jove! spróbuj — odparł, wchodząc do sypialni.

W obszernym pokoju widać było w przyćmionym świetle dwóch lampek ołbrzymie łóżko tylko i sofa, przykryta futrami. Grohowa cisza ponowała w nim: Amerykanin bowiem, pragnąc aby sypialnia była absolutnie odgradzoną od hałasów z zewnątrz, kazał wyłożyć ją konikiem dębowym.

Leżąc to razy jednak rozbrzmiewała wewnątrz gamą śmiechu, radosnymi wykrzyknikami i szepceniem szczęścia! A dziś!...

— Czy nie brzydzisz się, Lily, położysz obok nieszczęśliwej chorej żony? — spytała Paulina, kiedy Lucja odeszła.

Wyciągnął się w łóżku, milcząc. Nie mógł odpowiedzieć. Wsunął rękę pod krzyżę mikrochanej kobiety, na którą nie chciał spojrzeć z powodu jej zgasłych oczu. Dawał ruchem namiętnym opłatała mu szyję ramionami, dziś... leżała bez ruchu, apatyczna, opierając się z bezgraniczną ufnością całym swym ciężarem o silne ramię.

— Zgas lampę — szepnęła z rozpaczą w głosie — żebyśmy oboje byli pociemkali...

— Gaszę — odparł.

Poczem skierował wzrok ku oczom niewidomej, w nadziei, że Paulina zawoła: — „Ależ druga lampa pali się jeszcze!“ Nie tak łatwo bowiem przyzwyczaić się do myśli, że ukochana istota nie widzi już tego, co nasz wzrok dostrzega.

— Zrób mi małe miejsce na twojej piersi, Lionel; taka jestem zmęczona! Czy chcesz, żebym usiłowała zasnąć natychmiast, bez nasennego środka?

Daremnie jednak dokładała wszelkich starań, próbując stworzyć pustkę w swej głowie, licząc bez końca, lub goniąc wyobraźnią całą trzodę owiec. Sen nie przychodził ukończonej udręki i morzem ognia zapalały znów powieki. Błagalnym głosem małej, wylekłej dziewczynki odezwała się:



— Lionel, słuchaj, ja boję się!... Boję się umrzeć!... Ja nie chcę umierać!... Pragnę oglądać jeszcze... kwiaty, morze małe mi szmaragdowymi falami pokryte... i słońce... Obiecuj mi, że dasz mi widzieć jeszcze kwiaty i morze, mieniące się lazurem w słońcu!...

Tak modliła się wiółka i niepospolita artystka, poetka liryczna, kobieta-rzeźbiarka, której Rodin przyrzekał sławę!

— Obiecuję ci — odparł Lionel z trudem tłumiąc dźwięnie głosu — obiecuję ci, dziecko, że zobaczysz jeszcze kwiaty i morze w promieniach słońca.

— Obiecujesz mi? Tak bardzo kocham je!...

Kwiaty, morze i słońce, czy też światło, kształty i barwy?

— Tak bardzo!... — powtórzyła, jask e-cho.

Wzruszyła się w pierś o mięśniach nawykłych do wkładania dla zrobienia jej miejsca. On zaś szepnął dziecku, które trzymał w objęciach:

— Trzeba spać, drogie moje maleństwo!

— Zaśnij ty najprzód, dearest! — odparła Paulina. — Będę słuchała cię śpiącego, jak dawniej.

Przycichli oboje. Lionel z uczuciem bezradnej rozpacz przyglądał się żonie, która umarłymi oczami patrzyła w przestrzeń, nawpół rozjaśnioną jedną lampką. Bezsenność mąciła jej umysł, ścisnęła za gardło, tysiącami szpileczek wpijała się w rozpaloną skórę, odwodząc od przytomności. I przyszła chwila, kiedy naprężona jej myśl skupiła się na veronalu jedynie, który stał na stoliku przy łóżku, tuż pod ręką. Oparła się narazie pokusie. Odsunawszy się od Lionela, włożyła głowę w poduszki. Żalowała już niemal, że zaprosiła męża do siebie. Jęknęła wreszcie zmienionym głosem:

— Jakże chcesz, abym spała, kiedy ty nie spisz?...

Nie wiedziała, że mógł widzieć twarz jej, oświetloną palącą się lampką; nie dostrzegła jego oblicza spazmem cierpienia skrzywionego! On jednak, patrząc na jej męczarnie i chcąc położyć mu koniec na parę godzin przynajmniej, odparł:

— Będę spał, kochanie, prawie, że już spałem.

Wówczas, sprzymierzone z trucizną a-tony duszy, tkwiące w każdej jej komórce i hamujące wolę wyzdrowienia, dały jej siłę wstrzymania się od najbliższego bodaj ruchu, aby pozwolić mężowi zasnąć.

Kiedy odegrał komedię snu, gdy złowiła uchem jego równy oddech, wyciągnęła cichaczem ramię ku stolikowi; macając palcami trafiła na veronal i chwyciwszy go, jak złodziej swą zdobycz, zaczęła pić chciwie z flaszeczki zabójczy napój. Postawiła za chwilę lekarstwo na swoje miejsce i odwróciwszy się od Lionela, czekała z powiekami otwartymi na niewidzących oczach upragnionego pogrążenia się w przepaść niepamięci.

Lionel przez jedno oka mgnienie tylko wahał się, czy wolno mu pozostawić Paulinę w przekonaniu, że dał wywieść się w pole. Wszak obudziwszy się majajutrz w żywe oczy zaprze się swej słabości. Trucizna bowiem kłamała już przez jej usta. Nie, musi niezwłocznie wypowiedzieć jej wojnę i ujarzmić ją.

Położywszy więc dłoń na czole żony, odezwał się łagodnie:

— Błędactwo moje, nie miałaś siły oprzeć się, wszak prawda? Dlaczego nie kazałaś mi przynajmniej podać ci veronal?

Zapadając w sen, usunęła jego rękę z czoła i szepnęła nawpół już przytomnie:

— Napój się i ty, Lily!...

W chwilę potem spała snem ciężkim, odychając nierówno.

Szepnąwszy z boleścią:

— Niech zapomni!...

Lionel wysunął się ostrożnie z łóżka i padł znużony na futra sofy.

Tłum. Jotsaw.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok VI.

Niedziela, dnia 9-go czerwca 1929 r.

Nr. 23.

Dzień „Bożego Ciała“ w Łodzi.



Tegoroczne święto Bożego Ciała w Łodzi, dzięki sprzyjającym warunkom atmosferycznym, miało przebieg niezwykle uroczysty i podniosły. Dzień ten, z którym się wiąże piękne wspomnienia z przeszłości, posiada wiele oroku religijnego. Łódź, stale wrzaskliwa i rozgwana w codziennym wyścigu znoonej pracy, milknie, śpiesząc z wiarą i ufnością za swymi przewodnikami duchowymi, by oddać hołd Bogu u stopni Jego świątyni i ołtarzy.

Zdjęcie powyższe przedstawia moment wyruszenia procesji z kościoła katedralnego. Na stopniach katedry pod baldachimem J. E. ks. biskup Tymieniecki prowadzony przez p. wojewodę Jaszczolta, dowódcę O. K. IV, p. gen. Małachowskiego i prezesa Izby Skarbowej, p. Towarnickiego.

Fot. A. Meyer.